

Nr. 1. Poznań dnia 5 Stycznia 1878. **Rok I.**

„Lech“ wychodzi co tydzień w Poznaniu. Przedpłata ćwierćroczna wynosi 2 mrk. czyli 20 sgr., rocznie 8 mrk. czyli 2 tal. 20 sgr. (5 złr. dla Austryi.) Ćwierćroczną przyjmują poczty, roczną tylko redakcya. „LECH“ zapisany jest w cenniku pocztowym gazet na 163 str. pod 32 nr., na co się należy odwołać, gdyby gdzie poczty czyniły trudności w zapisaniu.

Słówko od Redakcyi.

Zapowiadając nasze wydawnictwo, ogłosiliśmy, że głównem zadaniem Lecha ma być utwierdzanie polskiego domu, polskiéj rodziny, polskiego ogniska. Myśl tę wyraża położony u góry nagłówek. Oto widzimy Lecha z synem i jego żonę z córką. Jest to polska rodzina. Orzeł rozpościera opiekuńcze skrzydła nietylko nad gniazdem z trzema orlętami, ale i nad polską rodziną. Ojciec synowi wskazuje gniazdo i poleca opiekę nad orlętami, a młoda Polka chciałaby tak chętnie się niemi pobawić. Te orlęta mogą oznaczać zagrożoną wiarę, narodowość i język, które to skarby nasze ojczyste młodzież polska szczególnie pielęgnować powinna. Kto chce, może także w tych orlętach wystawiać sobie Polskę, Ruś i Litwę.

„Lech“ nie zakreśla sobie wielkich celów — jego zadanie jest bardzo skromne. Budzić chęć do czytania, przyczyniać się do krzewienia oświaty we wszystkich stanach, a szczególnie w średnich warstwach naszéj ludności, podawać naukę w zajmującéj szacie i godziwą rozrywkę — oto środki, jakiemi pragnie „Lech“ utwierdzać polską rodzinę. Dziś słowo polskie nie znajduje uwzględnienia w szkołach, sądach i urzędach, są nawet usiłowania, aby je wydalić z świątyń Pańskich: niechże tedy w ognisku rodzinném dozna polski język życzliwéj opieki. Ale i tu wdziera się obca kultura, narzucając mianowicie ilustrowane pisma niemieckie, które obrazkami i tanią ceną wabią do czytania. Otóż „Lech“ chce polskim rodzinom przynosić swojski pokarm duchowy za jak najumiarkowańszą cenę.

Dla każdego narodu są dzieje ojczyste niesłychanie ważne — ztąd też wszystkie narody niepodległe uczą w szkołach historyi krajowéj. U nas tak nie jest. Trzeba ten brak zastąpić pracą domową. „Lech,“ o ile się da, podawać będzie obrazki z naszéj przeszłości, a może te ryciny, bawiąc najprzód oko, zachęcą i do pilnego czytania naszych dziejów. Wstępem do tych rycin jest ilustrowana okładka, skomponowana przez naszego znakomitego artystę Walerego Eljasza z Krakowa, do Dziejów Narodu Polskiego, którą na 4 stronie podajemy. U góry macie Bolesława Wielkiego, jako fundatora Polski. Pod nim widzisz Kazimierza Wielkiego i Stefana Batorego, a po bokach Czarnieckiego i Kościuszkę. Są to nasze najpiękniejsze chluby ojczyste. Pod niemi dawny rycerz oznacza przeszłość, a kosynier przyszłość Polski, ztąd też młode jego oblicze. Dawny rycerz z ręką na piersiach, dzierżąc w prawicy miecz dobyty, to przeszłość

polska wołająca na nas: „Syny moje, nie upadajcie pod brzemieniem cierpień, ale pełni nadziei pracujcie wytrwale, kochajcie szczerze Ojczyznę, a pobłogosławi wam Bóg.“

Uwzględniając przeważnie polskie i słowiańskie sprawy, nie ograniczy się na nich „Lech“ wyłącznie, ale i owszem będzie chętnie podawał wiadomości i opisy także z innych krajów.

Dotychchasowe nasze wystąpienie doznało bardzo surowéj i niesprawiedliwéj oceny, tam nawet gdzieby się jej spodziewać nie należało. Upraszamy czytelników uwzględnić te przeciwieństwa i nie odmawiać nam swéj życzliwości. Pragniemy usuwać niedostatki, ale na to trzeba pewnego czasu, bo i „Kraków nie od razu zbudowano.“

Kończymy ślicznym wierszykiem Seweryny Duchińskiéj, który mimo oszczerstw, miotanych na nasze pismo przez własnych rodaków, ma nas zachęcić do wytrwałéj pracy:

„Sieję proso na zagonie, czyż je będą żąć?
Przecież z wiarą rzucam w ziemię, ziarno bądź co bądź,
Może w miejsce bujnych plonów, da mi szczere pole
Same habry i ostróżki, lub marne kąkole:
Lub co gorsza, może jeno piołuny i głóg,
W nagrodę za trud podjęty przeznacza mi Bóg:
Lecz ja w ziemię pochylony, cicho i w pokorze,
Moje proso na zagonie sieję w Imię Boże!
Może wicher z burzą zwieje mych zasiewów ślad,
Może wzeszłe słota spłucze lub wybije grad:
Może gdy tchną latem z nieba słoneczne upały,
W marny popiół i perzynę zmienią plon mój cały;
Może nocą gdy powieje z łona ziemi chłód,
W niwecz pójdzie znój oracza i podjęty trud;
Lecz nie bacząc jakie straty przyszłość zrządzić może,
Moje proso na zagonie sieję w Imię Boże!
W Imię Boże sieję proso, sieję bądź co bądź,
Więc nie pytam czy plon bujny przyjdzie sierpem żąć:
I nie lękam się mozołu, ni trudu, ni pracy,
Ale sieję jak śpiewają w polu rankiem ptacy,
Z pełną wiarą i nadzieją, że zbudzony wczas,
Dźwięk ich pieśni pójdzie w niebo z ranną rosą wraz,
O! Bóg dobry, szczerym chęciom siewcy dopomoże,
Ja też proso na zagonie sieję w Imię Boże!“

KRWAWA NOC.

Powieść z niedalekiéj przeszłości

przez

Zygmunta Lucyana Sulimę.

Exoriare aliquis....

I.

W obozie.

Poczynał się cichy jesienny poranek. Na szarem, bezbrzeżnem niebios sklepieniu migotały już od czasu do czasu purpurowe słoneczne blaski, niby posłańce zbliżającéj się królowéj niebios. Na ziemi wlokły się leniwo brudne mgły, falami zaścielały przestrzeń, wilgotne, posępne jakieś w sobie. Było cicho, smutno w około... W powietrzu nie rozlegał się ów tajemniczy gwar budzącéj się ze snu przyrody, bo zanosiło się na zimę. Chłodny i przenikliwy wietrzyk kiedy niekiedy przeleciał ponad mgłą, zakłębił się, rozerwał na sztuki, przez taki otwór ujrzeć można było ciemne w oddali lasy i ciemniejszą jeszcze nieskończoność... Majestatyczna cisza spoczywała w naturze.

W taki to poranek jechał drogą ku lasowi, czerniejącemu w dali, mały chłopski wózek, obryzgany błotem które obficie zaścielało drogę, zaprzężony w dwa nędzne koniki. Woźnica, zwyczajny chłopek, ubrany w kożuch i szarą na wierzchu sukmanę z olbrzymią czapą na głowie, zachęcał zmęczone konięta i głosem i biczem. Za nim, na słomie okrytéj nędznym dywanikiem, siedział mężczyzna w burce z kapturem zadzianym na głowę. Z pod kaptura tego połyskiwało dwoje ócz czarnych, błyszczących jakiemiś piorunowemi blaski, namiętnych, przyćmionych groźnem, Jowiszowem brwi zmarszczeniem. Twarz cała przy białych blaskach budzącego się dnia, wydawała się jakaś sina od zimna czy z natury, choć młoda i piękna na podziw. Zgrabne, starannie utrzymane wąsiki krasiły rumiane usta, na których zgięciu mięszał się uśmiech szyderczy, czy drżenie jakieś konwulsyjne. Mężczyzna ten niecierpliwie rzucał w około oczami niespokojnie... kręcił się na swem twardem siedzeniu i od czasu do czasu wołał na chłopka:

— Prędzéj, prędzéj Maciek!... już świta!...

Maciek popędzał konie, które brnęły w błocie po pęciny prawie... Tymczasem las, ku któremu droga wiodła, coraz wyraźniéj się rysował na karmazynie zórz i wschodzącego z za lasu słońca. Na bladem, purpurą i złotem oblanem sklepieniu niebios, na mgłach szarych, kołysały się niekiedy gromadą wrony, kracząc i lśniącemi pióry pod słońce migając posępnie.

Okolica ograniczona z jednéj strony lasem, z innych nieprzebitemi mgłami, o ziemi czarnéj świeżo na zimę zoranéj, pusta i głucha, dziwnie smutny nosiła na sobie charakter. Płaska, gdzie niegdzie pofalowana piasczystemi wydmami, wydawała się cała jak cmentarzysko jakieś. Koło drogi ogromne liście łopuchu, bylicy i oset, poczerniałe i zżółkłe od wilgoci, zwarzone jesiennym przymrozkiem, leżały obryzgane na błocie. Na kałużach luźnie po błotnistéj drodze rozsiadłych, świeciła się pod krwawemi blaski

wschodzącego słońca, cienka gdzie niegdzie warstwa lodu, konwulsyjnie się trzymająca brzegów i ziemi... ponad tem wszystkiem kiedy niekiedy zimny, jesienny wiatr świszczał przeraźliwie.

Smutno było w całéj naturze w dobie owéj. Z lasu, do brzegów którego dotarł nakoniec nasz podróżny, wystąpił nagle jeździec, okryty szarą burką, z czerwoną czapką na głowie, z lancą u któréj trójbarwista chorągiewka szamotała się pod wiatr. Wyjechał on z krzaków — stanął i krzyknął głośno:

— Kto idzie?

Podróżny nasz na to zapytanie, porwał się z siedzenia i odrzekł głośno, z lekką wibracyą radości w głosie:

— Swój!... czy z Chmielnickiego partyi jesteś kolego?

— Ano tak! odrzekł jeździec zbliżając się do wózka i patrząc ciekawie na podróżnego.

— Chwała Bogu! zawołał tenże — a daleko do obozu? mam pilny interes do naczelnika.

— A któż ty jesteś kolego! spytał daléj jeździec, ściągając nagle niecierpliwiącego się konia.

— To do rzeczy kochanku nie należy — prowadź mię sam albo wskaż drogę do obozu — czasu ani chwili do stracenia nie mam.

— Po cóż cię mam prowadzić! odrzekł ziewając ogromnie — jedź prosto — sama cię droga zawiedzie — ztąd będzie o pół wiorsty — w lesie, na polanie...

I mruczał tam coś więcéj, czego już nasz podróżny nie słuchał, bo puścił się daléj drogą w las. W lesie panował jeszcze u dołu szary mrok, gdy tymczasem wierzchołki sosien i świerków czerwieniły się od purpurowego słońca, miotane lekko wietrzykiem. Głęboka w około panowała cisza — czasem tylko wrona zakrakała, lub ptaszę jakie zaświegotało. Z igieł poczciwych polskich sosien, kapały krople wody z wilgoci na nich przez noc osiadłe z charakterystycznym dźwiękiem padając na ziemię — rozlegał się odgłos klapiących po błocie koniąt, zresztą nic więcéj...

Młody nasz podróżny siedział dziwnie jakiś zadumany na swym wózku — niekiedy znowu niecierpliwie patrzał przed siebie, przygryzając czarne wąsiki. Przed nim leżały ciemności poranku, do których jeszcze blask nie przedarł się słoneczny, zdwojone coraz gęstszym lasem, mnóstwem młodéj drzewiny, krzaków leszczyny, jałowców i karłowatych świerków. Droga stawała się coraz przykrzejszą, węższą, błotnistą, pełną wertepów, dziur, wyboi, tak że biedny chłopski wózek skrzypiał jak na mękach, a konie smagane biczem jak struny się wyciągały, by podołać ciężarowi. Gałęzie drzew, na których jak sznur pereł uryańskich błyszczały krople rosy i deszczu, zwieszając się tuż nad głową jadących, nie zbyt uprzyjemniały podróż. To też nasz znajomy coraz bardziéj się niecierpliwił, kręcił na siedzeniu i ciągle nalegał na Maćka:

— Popędzaj, popędzaj Maciek!

Nakoniec znowu z pośrodka krzaków rozległ się ów okrzyk: Kto idzie? — błysnął karabin i na drogę wystąpił człowiek, odziany w długi po kolana płaszcz żołnierski z zielonym kepi na głowie z karabinem w ręku.

— Swój! swój przyjacielu, zawołał nasz podróżny.

— A co pan chcesz? spytał żołnierz.

— Chcę się do naczelnika dostać — czy już jestem w obozie?

— Jesteś pan i nie jesteś — szepnął uśmiechając się żołnierz — ale proszę za mną.

To mówiąc zawrócił się i poszedł przodem. Tu las stawał się co chwila gęstszym — droga coraz węższą kręciła, się ona jak wąż, tak ze ledwie wózek mógł się przecisnąć pośród mnóstwa krzaków i bujnej roślinności. Tak ujechali z kilkadziesiąt kroków — gdy nagle zabrzmiało nowe: kto idzie?

— Swój! odrzekł donośnie żołnierz.

— Hasło? spytano znowu.

— Niepodległość! odpowiedział przewodnik naszego podróżnego.

— Stań i nie ruszaj się! rozkazano donośnie.

Żołnierz i wózek z naszym podróżnym zatrzymali się. Wówczas z gęstwiny krzaków wystąpiło dwóch ludzi tak samo ubranych i uzbrojonych jak pierwszy i poszeptawszy coś z nim na uboczu, odezwali się głośno: prosimy pana!

Wózek znów daléj ruszał z niecierpliwiącym się już na prawdę podróżnym, który mruczał sobie pod nosem!

— Czy ten Chmieliński oszalał, czy co? tyle ceregieli!

Djabli nadali taką robotę! a widząc, że dotychczasowy jego przewodnik zabiera się do powrotu, zapytał głośno:

— Héj! kolego! czy to długo potrwa jeszcze, nim się do naczelnika dostanę?

— Zobaczysz kolego! odrzekł tenże i znikł w krzakach.

Tymczasem dwaj nowi przewodnicy ruszyli naprzód i już o kilkanaście kroków ujrzał nasz podróżny w wądole, otoczonym do koła gęstym lasem, ognisko a przy nim broń w kozłach i kilkunastu ludzi w najrozmaitszych pozycyach, to stojących, to siedzących, to leżących. Przy broni błyszczącéj od przedzierających się blasków słonecznych i od ogniska purpurowego krwawem światłem oblanéj, przechadzał się z bronią na ramieniu żołnierz i ten ujrzawszy zbliżających się, odbył taką samą z nimi ceremonią jak poprzedni. Dotychczasowi przewodnicy oddawszy mu podróżnego, naszego odeszli na powrót.

Była to placówka piesza. Zbudzono zaraz dyżurnego oficera, który wypytawszy się naszego znajomego, dokąd dąży — kazał wózek z chłopkiem zostawić a jemu samemu zawiązać chustką oczy i odprowadzić żołnierzowi jednemu do obozu.

Szli tak dość długo i wówczas dopiero stanęli, gdy rozległ się głos nad uchem naszego znajomego;

— Kogo prowadzisz i zkąd:

— Z placówki na drodze Jędrzejowskiéj, kapitanie.

— Odwiąż mu oczy!

Spełniono rozkaz i nasz podróżny ujrzał przed sobą barczystą postać jakiegoś mężczyzny, owiniętego w żołnierski płaszcz z pod którego długa, w blaszanéj pochwie wlokła się szabla. Na głowie miał zielone kepi, kryjące krótko strzyżone włosy.

Wracaj na miejsce! rozkazał żołnierzowi.

Żołnierz znikł.

— Zkąd pan jedziesz? spytał ostro kapitan naszego znajomego.

— Chcę się dostać do pułkownika, kapitanie.

— Czy masz pan interes?

— Tak kapitanie?

— Zaraz zwrócił się do żołnierza stojącego za nim:

— Proś porucznika Kury! — proszę, niech pan odpocznie, rzekł wskazując mu pniak drzewa, obciosany nieco.

Teraz dopiero znajomy nasz mógł rozpatrzyć się w około siebie. Siedział przed szałasem zrobionym z gałęzi i trawy — a w około mnóstwo takich czerniało szałasów tworząc całe ulice.

Gdzie niegdzie stały jeszcze nocne ogniska — wrzawy pełno, i ruchu. Przed szałasem kapitana stała długa linia broni w kozłach a przed nią przechadzał się żołnierz z bronią na ramieniu. Po obozie kręciło się mnóstwo żołnierstwa, piechurów w szarych płaszczach i zielonych kepi — kawalerzystów w burkach brązowych, niebieskich mundurach i czerwonych z pawiemi piórami czapkach. Ruchu tu było wiele — wrzawy, gwaru, śmiechów, piosnek nuconych samotnie . . . .

Wschodzące słońce rozjaśniało uroczyście ten widok — rozpędziło mgły, uciszyło wiatr i po nocy wilgotnéj zrobił się prześliczny, napełniony tęsknotą i łzami poranek jesienny. Na błękitnem niebie kilka chmurek szarych, ozłoconych blaskami, błąkało się niby marudery nocne . . .

Obóz leżał na obszernéj polanie, otoczonéj olbrzymiemi świerki, dęby, jedliną, klonami, które żółkły i złotym liściem słały ziemię i szałasy obozowiska.

Po powietrzu włóczyły się taśmy białe, przędza ona długa, którą lud babskiem latem nazywa.

Przybiegł nakoniec wezwany porucznik Kura, człowiek młody i zaprowadził naszego znajomego do naczelnika.

Chmieliński stał przed swoim szałasem, obszerniejszym i lepiej zbudowanym jak wszystkie inne, ubrany w szaraczkową kurtkę, zielone, srebrem wyszywane kepi — poprawiając zwyczajem swoim, ozdobną szablę przy boku. Był to mężczyzna nizkiego wzrostu, szczupły, jasny blondyn, o słabym zaroście i oczkach niebieskich, maleńkich, a żywych i bystrych. Stał otoczony kilku oficerami, oczekując widocznie nowo przybyłego gościa.

Gdy go dostrzegł idącego, wpatrzył się weń ciekawie, postąpił parę kroków naprzód i zawołał na pół radośnie, z intonacyą przeciągłą jakiéj nabył w czasie dość długiéj służby we wojsku rosyjskiem.

— Co widzę! Góra! a ty tu z kąd?

— Czołem pułkowniku! odrzekł na to nasz znajomy, którego odtąd będziemy nazywać właściwem jego imieniem.

— Jakże mi się miewasz? to mowiąc podali sobie ręce i uściskali się serdecznie.

— Ale cóż cię tu sprowadza? co słychać? zkąd jedziesz? pytał jednym ciągiem Chmieliński.

— Ważny interes pułkowniku — bardzo ważny — czy nie mógłbyś mi kilku chwil na osobności poświęcić? mówił Góra.

— Odstąpcie panowie — zawołał Chmieliński zwracając się do oficerów — poczem wprowadził Górę do szałasu swego, gdzie przy stole z paru desek zbitym, na połamanych kr ·łach siedli.

— ⁄ ąd więc jedziesz? pytał Chmieliński.

— Krakowa prosto do ciebie.

— ,akto, z Krakowa? a cóż ty tam robisz? nie w Warszawie na stanowisku i na wulkanie!

— O! już od miesiąca z Warszawy uciekłem — teraz jestem prostym komisarzem wojskowym.

— Więc nie w Rządzie? a to szczególnie — a któż cię tam zastąpić może?

— Są inni! rzekł na to zimno i z szyderskiem na pół uśmiechem Góra — we Wrześniu po zamachu na Berga rozpędzili nas, usunęli — sami teraz rządzą.

— Więc i mego brata już w Warszawie nie ma? pytał Chmieliński nachylając się ku gościowi, zaciekawiony jakiś a sine żyły mu na czoło występowały.

— Gdzie jest, nie wiem — ale do składu Rządu Narodowego teraz nie należy . . . . lecz o tem potem — ważniejsza rzecz interes z jakim do ciebie przyjechałem — rzekł i porwał się szybko a przysuwając swe kulawe krzesło do Chmielińskiego prawie na pół cicho mówił:

— Wiesz, że Czachowski za parę tygodni wkracza?

— Tak? ano to dobrze — szepnął Chmieliński — dużo ma ludzi.



— Ze czterysta piechoty dobrze ubranéj i uzbrojonéj, samych prawie wojskowych i ze stopięćdziesiąt koni — oddział wyborowy — przez nas jeszcze wystawiony, uorganizowany, uzbrojony i opłacony — a te maślane głowy, pół pstre pół białe barany, sławę i korzyść z tego ciągnąć będą — lecz mniejsza o to — salus patriae prima lex. Więc wkraczamy!

— I prędko! spytał Chmieliński wspierając się ręką na stole i ciekawie patrząc w twarz Góry.

— Za parę tygodni — daty dokładnie nie wiem, bo jéj jeszcze dotąd nie ustalono, zależeć to wreszcie będzie od wielu okoliczności.

— No naturalnie! wtrącił Chmieliński.

— Przysłano mię więc tu do ciebie z zapytaniem i prośbą, czybyś nie chciał pomagać temu wkroczeniu, zbliżyć się do granicy, zasłonić wreszcie przejście?

— Czy ty mówisz w imieniu Czachowskiego, czy Rządu Narodowego?

— W imieniu Czachowskiego pułkowniku! Rząd Narodowy śpi w Warszawie i o niczem nie myśli — nas tam nie ma!

To mówiąc, oblał się Góra krwi purpurą cały i uderzył silnie w pięścią stół.

— Pomagać mogę, rzekł zimno Chmieliński, do granicy się zbliżę, gotów nawet jestem z Moskalami wziąść się za łby — bo mnie nie rozbiją — a Czachowskiego mogą — ale

— Tego nie wiem — ale zapewne koło Niepołomic, a ztamtąd weźmiem się trochę na prawo ku Klimontowu by wprost zaszyć się w Łysogórskie lasy. Wreście damy ci znać. Więc pomagasz?

— Pomagam! w parę dni ztąd wyruszę w Sandomirskie — będę się kręcił koło Łysej Góry — tam mię znajdziecie z wieścią. Zresztą wojewódzki D*** zawsze będzie wiedział gdzie jestem . . .



WANDA. Podług obrazu A. Piotrowskiego.

trzeba mi dokładnéj daty przejścia granicy, boć napróżno narażać się nie myślę.

— Będziesz ją miał — zawiadomimy cię później — ja tylko przyjechałem pytać się czy nas wesprzesz?

— Ale wesprę wesprę jak tylko będę mógł! odrzekł na pół serdecznie Chmieliński — a gdzie przejdziecie granicę?

— To dobrze? już my się odszukamy! Góra zacierając ręce.

— Zajdę też i do Zalesia, bo podobno pani Adela wróciła do domu, zobaczę co się tam dzieje? wtrącił Chmieliński patrząc na Górę.

Ten zarumienił się cały i spytał:

— Zajdziesz? pokłoń się odemnie! ..

— Cóż kochasz się zawsze? spytał znów z uśmiechem Chmieliński.

— Nie mówmy o tem pułkowniku! przerwał Góra — i bądź zdrów, bo ja muszę jechać!

— Jakto tak prędko!... bez kieliszka nawet!! ano kieliszek wina! i krzyknął by podano wina.

Góra ledwie się dał namówić, wypił, szepnął jeszcze w ucho Chmielińskiemu cały zarumieniony i piękny w tym swoim rumieńcu, pożegnał się szybko i oddalił z żołnierzem, co go miał zawieźć do placówki.

Chmieliński stał przed swoim szałasem i patrząc za odchodzącym szepnął:

— Więcéj takich a kraj byłby jednem cmentarzyskiem i jednem krwi morzem — ale my bylibyśmy wolni!

Góra znów siadając na oczekujący nań wózek tak mówił do siebie:

— Gdybym nie ja tu był przyjechał, byłby nam nic pomagał. Nie śmiał mi odmówić! Czachowski dobrze mówił. Z tych siwych oczek Chmielińskiego patrzy pycha i duma.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

W imionniku A. M.

Szybko płynie strumień życia,
Szybciéj jeszcze losów łódka,
A do grobu od powicia
Podróż nasza nazbyt krótka.

Brzeg strumienia wieńczą kwiaty,
Niebo z razu błyszczy wiosną;
Lecz im daléj płyniem z laty,
Tym mniéj piękne kwiaty rosną.

Coraz rzadziéj słońce świeci
Śród starszego życia, burzy;
Ledwo czasem woń doleci
W kwiecie wieku wzrosłych róży —

Lecz i te zwykłą koleją
Zwolna poschną i powiędną:
Zniknie Szczęście wraz z Nadzieją
Co nas ścieżką wiedzie błędną.

Po nich miłość co w młodości
W anielskiéj staje postaci:
A na pierszy błysk nowości
Niewiarą, czułość zapłaci!

I marzenia urojone
Którym zwodne szczęście błyszczy,
Co w czarowną niosą stronę
Póki prawda ich nie zniszczy

Ale nad brzegami temi
Są dwa kwiaty co nie więdną:
Miłość dla rodzinnéj ziemi,
I przyjaźń co nie jest błędną.

Pierwsza zdobi duszę młodą
I w twojéj duszy już płonie,
Druga jest serca osłodą,
I w mojém ją znajdziesz łonie.

Warszawa, dnia 6 Listopada 1830 roku.

K. Gaszyński.

UWAGA. Wiersz powyższy, o ile nam wiadomo, nigdzie nie był drukowany, a zasługuje zaiste na ogłoszenie drukiem. Jestto jeden z najpierwszych utworów Gaszyńskiego, atoli odznacza się już temi samemi cechami, co następne jego poezye: t. j. serdecznością, prostotą i piękną formą. W tym wierszyku przepowiedział sobie niejako poeta przyszłe swoje losy. Nie zaznał szczęścia jako wygnaniec, atoli miłość Ojczyzny i przyjaźń były osłodą jego życia. Oprócz Krasińskiego miał Gaszyński licznych przyjaciół, a miłość Ojczyzny nie odstępowała go na chwilę.

SŁOWIAŃSKIE LISTY Z CZECH.

Powitanie Lecha. W sprawie literatury czeskiéj księgarz J. L. Kobr. Tłumaczenie polskich poezyi szkoły ukraińskiéj na język czeski. Chorwacki tygodnik „Vienac“ Pomnik polskiego emigranta Sójkowskiego w Pradze.

Serdecznie witam „Lecha“, raz jako pismo polskie wogóle, a powtóre jako pismo, które zamierza zajmować się sprawami słowiańskiemi i przyczyniać się do duchowego połączenia Polaków i Czechów.

Wszakżeż Lech i Czech rodzonymi byli braćmi, którzy po długich latach rozstania poznali się na nowo nad Wartą, na pamiątkę czego miasto zbudowawszy, Poznaniem je nazwali. Niechże z Poznania wyjdzie pobudka od dzieci Lecha i Czecha, aby rzuciwszy swary, co nam grób wyryły, uznały się za braci. W miarę słabych sił i ja chcę się do tego pięknego celu przyczyniać.

W ostatnich czasach zajmowano się u nas żywo ruchem naszéj literatury czeskiéj. Uczyniono spostrzeżenie, że ruch ten miasto się wzmacniać, słabieje. U czeskich pisarzy nie objawia się taka bogata płodność i skrzętność, jak dawniéj. Wszystkie prawie nasze dzienniki rozpisują się o tym zastoju, a choć różne są zdania, jednakże wszyscy się na to godzą, że ruch przemysłowy powinien być daleko większy. Nie ma niestety! patryotycznych księgarzy i patryotycznych czytelników, którzyby książki kupowali.

Wielką konkurencyą czeskim dziełom sprawiają książki niemieckie, które, rozchodząc się nieomal na cały świat mogą być znacznie tańsze, aniżeli czeskie, a potem kolporterzy wszędzie się cisną i gwałtem prawie niemieckie książki narzucają.

Płodność pisarzy czeskich się nie umniejszyła, tylko że ich prace dla braku nakładców spoczywają w tekach. Dziś pisarze nasi wskazani są prawie wyłącznie na czasopisy, które samo przez się rozumie, nie mogą wszystkich prac literackich umieszczać. Wielki też jest brak nakładców

Nie ma Kobra, który jako księgarz wydał wiele dzieł zacnych, będących chlubą literatury czeskiéj. U niego wyszedł „Słownik Naucny“ (Encyklopedya), pomnikowe dzieło; Kronika Cesko-Morawska z rycinami i t. d. Sam katalog nakładowy téj księgarni tworzy książkę o 100 stronach.

Przyszła i druga sprawa pod publiczne obrady. Oto kilku znakomitszych pisarzy czeskich zaczęło pisać po niemiecku. Udowodniono, że książka jest tylko chlubą téj literatury, której językiem jest napisana a zatem niemiecka, choćby ją napisał pierwszy czeski patryota, jest już zgubiona dla literatury czeskiéj. Zapewne że te uwagi są słuszne i na czasie. Drukuje się właśnie w Morawie mała książeczka, wykazująca jaka to wynika szkoda, jeżeli pisarz czeski pisuje po niemiecku.

Przyjemną zapewne będzie wiadomość dla polskich czytelników, że Rudolf Pokorny, znany poeta i tłumacz czeski, przekłada obecnie na czeskie, polskie poezye szkoły ukraińskiéj. Dotąd umieścił kilka bardzo pięknych przekładów poezyi „słowika ukraińskiego“, w czasopisach: „Cesko Vila“ i „Svêtozor“. Inne pismo czasowe „Slavia“ podało przekład powieści Ordona a „Slovanske Listy“ podają w kilku numerach szkic z polskiego powstania 1830 i 31 roku.

Wypada też tu wspomnieć o tygodniku chorwackim illustrowanym „Vienac“ który wychodzi w Zagrzebiu. Pismo to zawiera liczne przekłady z wszystkich słowiańskich na rzeczy. Niedawno umieściło tłumaczenie opowieści Zacharyasiewicza: „Preferans po śmierci“ i piękny opis Krakowa z ryciną, napisany przez Iwana Gostisa.

W końcu pozwalam sobie podać łaskawym czytelnikom wiadomość choć nie nową, ale zasługującą zawsze na uwagę.

Dnia 7. Lutego br. umarł w Pradze polski wychodzca Felix Sójkowski, który uszedł z wojska rosyjskiego. Policya aresztowała go w Pradze. Kilku Czechów a mianowicie patryotka czeska pani Hartig pocieszała go w więzieniu, starając się los jego osłodzić. Mimo to nieszczęśliwy Polak umarł. Pochowano go przyzwoicie na cmentarzu Wolszańskim staraniem téjże patryotki. W dzień zaduszny postawiono nad mogiłą Sójkowskiego piękny pomnik kamienny z następującym napisem ceskim:

Felix Sójkowski druhdy posluchač university varšavske, bojoval v povstani polském r. 1863, byl zajat i od souzan do Sibiře, odkud z na uteku v Praze zatčen, umřel 7. unora v 33 roce věku sveho. Ojczyzna!

Wszakżeż to piękny objaw wzajemności słowiańskiéj!

Sójkowski nie umarł na ziemi obcéj, ale na ziemi bratniéj, na któréj znalazł łzy i spółczucie.

Praga w Grudniu 1877.

EDWARD JELINEK.

WANDA.

Do najpiękniejszych postaci naszéj przeszłości należy Wanda, sławiona pieśnią ludową: „Wanda leży w naszéj ziemi.“ Niektórzy krytycy pragnęli piękne, poetyczne podanie o Wandzie wykorzenić, atoli pieśń owa i po dziś dzień stercząca mogiła Wandy przy Krakowie w długie lata świadczyć będą wymownie, że istniała niegdyś polska księżna Wanda, która nie wachała się położyć życie za Ojczyznę w ofierze.

Posłuchajmy co mówi o podaniu Wandy znakomity nasz archeolog J. Łepkowski w dziełku: „O Tradycyach Narodowych.“

Uzupełnię tu jeszcze dla całości, podania o owym kurchanie usypanym Wandzie o milę od Krakowa nad ujściem rzeczki Dłubni do Wisły, w miejscu gdzie ciało jéj wypłynęło. To objetne rzucenie się w wodę z mostu u stóp Wawelu, było wedle tradycyi: ofiarą bogom, którym swoją poświęciła czystość. Odmawia germańskiemu księciu (czy też Niemców hołdownikowi) swéj ręki — zwycięża wojsko jego a sama po spełnionych modłach, w obec rycerstwa i starszyzny, zbrojna a na koniu, w falach Wisły śmierć znalazła.

Począwszy od Michała Stachowicza, wielu malarzy chwilę tę obrazowo wystawiać się kusili; a dotąd pierwszeństwo przyznano kompozycyi M. A. Piotrowskiego z Królewca. Obraz ten jest własnością krakowskiego Towarzystwa sztuk pięknych, a zapał ogólny z jakim go otaczano, gdy był w r. 1859 wystawiony na widok publiczny, dawał mi pocieszający dowód gorącéj miłości do tradycyi ojczystych.

Od tego pierwszego mytu poświęcenia się u nas kobiety, jakżeż piękny szereg niewiast dałby się zestawić, niby w wieniec narodowéj chwały.

Ta z życia robi ofiarę — Kinga ślubny pierścień w kruchu soli mieści, aby jak mówi podanie: wiano jéj równie bogaczom, jak ubogim na pożytek poszło. Aldona Gedyminówna jeńców polskich przywozi Kazimierzowi z Litwy w posagu — Jadwiga łez żałuje co je biednemu krzywda wyciska, a ślubnym wieńcem bratnie łączy narody. Oweż święte, inne bohaterki — to znów cnotliwe i mądre Jagiellonki, co uzacniły tyle rodów królewskich na świecie. Gdy cnoty zabrakło jak w XVIII wieku na francuzkim dworze, tam Polkom dostało się jéj odrodzenie; a nasza Leszczyńska wskrzeszać ją tam poszła.

Odstępując od przedmiotu, tknęliśmy tych pięknych kwiatów bogatego wieńca, co nigdy nie zwiędnie na głowie ojczyzny naszéj. Miło byłoby czytać kiedy dzieje niewiast polskich, jak skoro ten coby je napisał, miałby cnoty za barwy do swego obrazu, a każdą postać téj powieści, wonią z ołtarzy i aureolą świętości otoczyćby mu przyszło.

Broniąc podań o Wandzie, co pieśnią:

Wanda leży w naszéj ziemi...

tak dobrze wbiły się w pamięć narodu, sądzę: iż ze względu na samą choćby wartość przestrogi, jaka się w całym tym mycie zawarła, nie wypadało silić się na obalenie powagi tak mądréj tradycyi.

To jakby zaklęcie ojczystéj ziemi: czyje to kości mają znaleźć w niéj miły spoczynek, było jakby u kolebki na-

rodu wyrytą przestrogą, którą czasy i walki Chrobrego, Łokietka i Jagiełły sprawdziły.

Odwieczne tradycye miewają nawet nieraz proroczy charakter; a zawsze swobodniejszym i prawdziwszym są wyrazem uczucia narodowego, niż mogą często nim być dowiedzione fakta i dzieje pisane. Czyż myt o Wandzie nie jest czysto polski?

Czyż z niego nie widne owo zdanie instynktowe narodu, które po spełnionych dziejach ojczyzny, mądrém przeczuciem nazwać nam się godzi? Dość przypomnieć Psie pole i Grunwald......

Że historya opowiadająca zdarzone wypadki i same nawet fakta, czasem mniéj świadczy o poczuciu narodu niż jego podania i tradycye pismem nie ujęte, łatwo pojąć, gdy zważymy: że czyn spełniony na kartach dziejów zapisany, mógł być zewnętrznemi okolicznościami spowodowany, a zatem nie narodowy. Wtedy lud tworzy sobie nieraz tradycyą, która przechodzi przez pokolenia jako świadectwo: że nie fakt spełniony, ale ta właśnie legendowa (że tak powiem) o nim opowieść, prawdą jest względnie do narodowego, ojczystego poczucia.

Otóż na tle uroczego podania o Wandzie wykonał Piotrowski, profesor malarstwa w Królewcu, piękny obraz, którego drzeworyt na 5 str. podajemy. Natchniona postać Wandy kogóż nie wzruszy? Przedziwnie oddana twarz polskiéj dziewicy, składającéj życie w ofierze za naród. Jakżeż są śliczne postacie trzech otaczających kobiet, bolejących nad utratą dobréj pani. Ta jedna jeszcze powstrzymuje rękami Wandę, choć widać że za słabe dłonie nie cofną postanowienia. Dwie inne towarzyszki tak są przepełnione żalem, że się nie kuszą nawet, aby powstrzymać księżnę od spełnienia ślubu, uczynionego bogom. W głębi rysuje się zamek krakowski, a na dole widzisz fale Wisły, które za chwilę pochłoną Wandę.

Towarzystwo Przyjaciół Sztuk Pięknych w Krakowie zakupiło od artysty ów obraz na własność i wydało jako premią dla członków w pięknéj dużéj litografii. Pierwowzór po dziś dzień zdobi salę Towarzystwa w Krakowie. Ktokolwiek zwiedzi Kraków, niech nie omieszka udać się do dawnego pałacu biskupów krakowskich, gdzie się obecnie wystawa obrazów znajduje.

Zmarły zawcześnie śp. A. Piotrowski był Wielkopolaninem, urodził się bowiem w Bydgoszczy, a ojciec jego w Żninie. Tak tedy ów obraz Wandy przywodzi nam na pamięć Krakowskie i Wielkopolskę. Piotrowski był jednym z pierwszych, który utorował drogę rozkwitowi polskiego malarstwa, gdyż 1859 r. nie byli jeszcze znani obecni polscy malarze, znani dziś i cenieni nawet po za Polski granicami. Obraz ten zatem Wandy jest niejako hasłem nowéj epoki polskiego malarstwa, a hasło to wydał syn Wielkopolski, krainy, któréj słusznie zarzucają obojętność dla sztuk pięknych. Może i u nas zmienią się te stosunki na lepsze.

ŁAMIGŁÓWKI.

Ułożone przez J. Chmielewskiego

ZGŁOSKÓWKA.

Weź pięć liter w jednym rzędzie,
Co oznaczać oddział będzie:
Gdy obetniesz głoski z boku,
Coś miłego będzie oku,
Co tak pięknie się zieleni.
Kto od końca mię wymieni,
Głoski z boków mi dołoży,
Przestrzeń w domu się wytworzy,
A kto nazad mię odwróci,
Głoski boczne mi dorzuci,
Rzecz tę będą mieć panowie;
Czem to wszystko — Któż mi powie?

ZAGADKA.

Staw literę na literze,
A zaręczyć mogę szczerze,
Że to będzie przedmiot taki,
Który znają nawet żaki.
A to przedmiot wzniosły przecie,
Który wiele działa w świecie,
Bo podnosi ludzkość w cenie
I nadaje jéj znaczenie,
A kto przedmiot ten posiada,
To człowiekiem jest nielada.

ZGŁOSKÓWKA.

Pierwsze i trzecie
Łatwo zgadniecie,
Bo to część ciała człowieka.
Drugie rzeka jest daleka,
Trzecie i czwarte
Bardzo wiele warte,
Boć to jest czas, ciągle się powtarza.
Czwarte i piąte: owoc co się zdarza
W polu i w ogrodzie,
Lub rzeczy pękate, służą ku wygodzie.
Całe — chęć, skłonność, która dogadza,
Czynności osładza,
Zmniejsza trudności,
Użycza przyjemności

Warunki przedpłaty na „Lecha“.

„Lech“ wychodzić będzie co tydzień w Poznaniu od 1 Stycznia 1878 r. co sobotę w objętości najmniéj jednego arkusza.

Zapisywać można albo wprost w redakcyi albo na wszystkich pocztach krajowych i w cesarstwie austryackiém.

Przedpłata ćwierćroczna na pocztach wynosi 2 marki czyli 20 sbr., którą najpóźniéj trzeba do 27 Grudnia 1877 złożyć, następnie trzeba płacić 1 sbr. więcéj.

Przedpłatę roczną w ilości 8 marek czyli 2 tal. 20 sbr. albo też 5 złr. walutą austr. przyjmuje tylko redakcya.

W Poznaniu zapisywać można w księgarni J. Chociszewskiego ul. Wodna nr. 15 za 20 sbr. ćwierćrocznie, za co się odstawiać będzie do mieszkania.

Przedpłacicielom „Lecha“ dostarczać się będą od czasu do czasu za zniżoną cenę książki i ryciny.

Dodatek inseratowy „Lecha“ przyjmuje ogłoszenia w cenie 25 fen. za rządek. Przy większych zamówieniach ustępstwo ceny.

Wszelkie listy i zamówienia do redakcyi i ekspedycyi „Lecha“ dochodzą pod adresem: „*Lech Poznań*“.

Józef Chociszewski
redaktor i nakładca „Lecha“.

Redaktor i nakładca Józef Chociszewski w Poznaniu. — Z drukarni J. I. Kraszewskiego (Dr. W. Łebiński) w Poznaniu.